№ 43. Warszawa, dnia 12 (24) Października 1888 r. Rok XXII.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**
EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

W JESIENI.

O! rzadko kiedy śród chmurnej jesieni
Promyczek słońca zabłyśnie nanowo...
Nieba szarego już świt nie rumieni,
Zachód nie krasi barwą purpurową.

Idziemy bladzi, śród mroków i cieni,
Żaląc się niebu smutną wspomnień mową;
Śród ciężkiej drogi siadamy strudzeni,
Niosąc przyszłości rozczarowań słowo...

Ku dniom ubiegłym zwracamy ramiona,
Ku tej promiennej, utraconej wiośnie,
Którą już skryła mgły szarej osłona;

I drżąc pytamy usty zsiniałemi:
Czy nie przytuli znów słońce miłośnie,
Tej biednej, zziębłej, spustoszałej ziemi?

Antoni Pilecki.

POGAWĘDKA.

— Co to za plotkarskie miasto, ta nasza... Kiernozia! — mówił do mnie jeden z mieszkańców tej stolicy, chwytając się za głowę i porywając z miejsca.—Nie do wytrzymania.

— Dlaczego?... cóż tam znowu szanownego radzcę ugryzło?

— Mnie nic, ale innych; wprawdzie ani mnie to świerzbieć, ani boleć nie powinno, ale nie mogę patrzeć, kiedy na kimś komar siedzi, a nie dopiero taki smok, jak plotka. Wyobraź pan sobie, że u nas już nietylko cudzą sławą, cudzemi stosunkami, ale i cudzym rozumem się bawią; zrobią z pana ot tak, dla rozrywki, bzika i osadzą w domu waryatów. Nowy sport podłości i nieuczciwości ludzkiej. Ktoś puszcza lekko pierwszą pogłoskę w bardzo delikatnej formie np.: „słyszeliście?... podobno X. zwaryował?...“ albo: „Czy to prawda, że X. dostał bzika?...“ Nie, niceśmy nie słyszeli; a zkądże ta wiadomość?... „Mówią o tem na mieście.“ — Mówią!... uważasz pan?.. to najwygodniejsza forma potwarzy, bezosobista, niéma się kogo chwycić, ani u kogo upomnieć. Pies jakiś szczeka na całą wieś, tylko niewiadomo w czyjej chałupie.

— I przypuszczasz radzca, że to złośliwość ludzka?

— A cóżby innego!... my panie żyjemy w czasach, w których człowiek dla człowieka nietylko jest wilkiem, ale płazem, gadziną, skorpionem.

— Radzca jesteś pessymistą.

— Daj pan pokój, nadużywacie tego wyrażenia dzisiaj; nazywacie niem każego, co patrzy trzeźwo i widzi jasno, bez okularów i nie przez palce. Albo to nie ostatnia podłość zrobić kogoś waryatem, zaniepokoić jego rodzinę, w najlepszym razie ośmieszyć go, i puścić przez kilka tygodni na młynek ludzkich języków!...

— A zkądże pewność, że to plotka zrobiona z umysłu?

— Znamy my się na naszych ludziach, mój panie; słuchamy, kto mówi i wiemy zaraz dlaczego. Zresztą w każdej plotce jest zawsze zła wola. Dam panu drugi przykład; mamy tu w Kiernozi znakomitego lekarza, głośnego specyalistę, człowieka zacnego i uczynnego, który rozrywany jest na wszystkie strony. Za dużo ma biedak powodzenia i to kole w oczy. Przed kilkoma tygodniami rozpuszczają o nim pogłoskę, że wzywany do chorego dziecka, odmówił ojcu, nie chciał się zgodzić na żadne wynagrodzenie i dziecko bez pomocy jego umarło. Pokazało się, że to potwarz że wszystkie pozory były umyślnie za jaskrawo podmalowane; ale przez kilka tygodni szamerowano biednego doktora od stóp do głów, bo to już ludzka wada, że łatwiej wierzymy złemu, niż dobremu, i jest w nas jakiś szkaradny instynkt do potępiania bliźniego.

— I któż takie rzeczy rozpuszcza?

— Wiesz pan kto?... najczęściej ludzie, którzy dlatego oczerniają innych, aby wydać się choć trochę bielszymi przy nich; albo tacy, co to, jak ścigani złodzieje, krzyczą sami najgłośniej: „łapaj, chwytaj“ dla zmylenia śladów. To, panie, złodziejska taktyka. Ot, znowu dam panu przykład; był tu u nas...

— W Kiernozi?

— A tak w Kiernozi, człowiek młody, intelligentny, dowcipny, kostyczny, wesoły towarzysz, z językiem ostrym, jak brzytew; zajmował urząd w pewnej poważnej instytucyi, gdzie umiał sobie pozyskać ogólne zaufanie. Gębę miał wyparzoną, krytykował wszystko i wszystkich, każdemu łatkę umiał przypiąć, moralizował pokatońsku, aż nagle zniknął, jak kamfora. Wiesz pan, ten porządny człowiek od paru lat był prostym złodziejem, który fałszował podpisy na czekach swojego zwierzchnika, podskrobywał liczby w księgach buchalteryjnych, dopuszczał się malwersacyi i zręcznie oszustwo swoje pokrywał póty, aż nareszcie sprawa się wydała; wtedy wziął nogi za pas i czmychnął. Gdyby się dobrze przypatrzeć każdemu z takich paniczów, co to z trójnoga sądzą o wszystkiem, trzebaby niejednego wpierw pod sąd oddać, i to pod sąd kryminalny, nietylko przed sąd opinii publicznej.

Pan radca w złym był humorze, bo i na opinią publiczną zaczął sarkać, zarzucając jej brak charakteru i chwiejność zdania; od niej tyle zależy,

ona ma być przecież tym bezstronnym, poważnym areopagiem, tymczasem daje się obałamucać pokątnym doradzcom i wchodzi często w konszachty z samymi podsądnymi.

Nie chciałem panu radzcy przeczyć, bo i tak rozdrażniony był niezwykle na swoję Kiernozię tem bardziej, że jako właściciel domu miał jakieś zatargi z tamtejszym magistratem i kilkakrotnie dawał mi do poznania, że jest goły jak święty turecki, a w kilku miejscach pożyczki mu już odmówiono.

Przypomniało mi to, że w podobnem położeniu znajduje się około 800 takich radzców w naszej poczciwej Warszawie, którzy mają humor wielce skwaszony z powodu grożącego im przymusu skanalizowania swoich possesyi.

Obliczono, że potrzeba będzie z półtrzecia miliona rubli na połączenie domów prywatnych z główną kanalizacyą miasta, i że takim kapitałem na razie nie rozporządzają interessowani właściciele kamienic. Magistrat trzyma się zasady i planu kanalizacyi, mając przedewszystkiem na względzie porządek i dobro całego miasta, a dopiero potem interessa pojedynczych obywateli. I Magistrat ma słuszność ze swego punktu widzenia, ale panowie obywatele mają także racyą, skoro nie chcą kanalizować swoich domów z tej prostej przyczyny, że nie mają na to funduszów. Grożą im przymusem, ale sami w skuteczność tego środka nie wierzą; jak tu można człowieka przymusić do tego, żeby miał pieniądze na zawołanie?... gdyby to było możliwem, upraszalibyśmy wszyscy o stworzenie podobnej istytucyi exekucyjnej w każdym zawodzie, któraby samym naciskiem wyduszała nam ruble z kieszeni.

Sprawa przykanalików ciąży teraz na głowach, na sercach i na kieszeniach szczęśliwych obywateli, posiadających nieszczęściem domy w Warszawie właśnie w tym czasie, gdy p. Lindley próje wnętrzności syreniego grodu.

Narad odbywało się mnóztwo; wszyscy sobie łamią głowy nad tem, jakby się dało z próżnego nalać, bicz z piasku ukręcić, i ruble z powietrza chwytać.

W Towarzystwie Kredytowem Miejskiem rozbierano kwestyą pieniężną w interessie kamieniczników na rozmaite sposoby. I oto okazało się, że magistrat jedynie mógłby w tej sprawie zaradzić, przedewszystkiem musiałby okroić trochę swoje kosztorysy, które według rzeczoznawców za drobiazgowe do budowy narzucają warunki; możnaby o trzecią część zmniejszyć wydatek skanalizowania domów. Nareszcie należałoby roboty rozłożyć na lat 15, i dostarczyć właścicielom kredytu z funduszów miejskich, albo z nowej pożyczki na powolną amortyzacyą.

Takie tylko rezultaty dały dotychczasowe narady; zobaczymy, co sobie jeszcze wyłamią z głowy ojcowie miasta, którym p. Lindley zabił ćwieka w mózgownicę.

Przezorna hygiena wystąpiła znów z zarzutem technicznej natury; oto dr. Szyszło wystąpił przeciw projektowi skanalizowania rynien kamienicznych, utrzymując, że ten sposób może wprawdzie przynieść korzyści kanałom, dostarczając im wody do przepłukiwania, ale szkodę mieszkańcom, gdyż wyziewy rozchodzące się przez rynny w powietrze, roznosić mogą miazmata i gazy, zanieczyszczające powietrze. Doświadczenia zagranicą dokonane, powinnyby być dla nas przestrogą.

Od tematu tak niewonnego, przejdźmy do... kwiatów malowanych, albowiem jesień prawdziwych nie wiele już dostarcza; mieliśmy, co prawda na pocieszenie, jakby ostatnią kokieteryą jesieni: fijołki, sprzedawane po ulicach, i tuberozy bardzo modne i rozpowszechnione od pewnego czasu; ale hodowała je, nie natura z dobrej woli, jeno sztuka ogrodnicza, która rozwija się u nas coraz pokaźniej.

Kwiatów malowanych za to dostarczyła nam na... talerzach i spodkach, stolikach i kartonach wystawa ornamentacyjna i dekoracyjna, urządzona w Salonie Towarrzystwa Zachęty.

Mniej więcej tesame nazwiska i tensam rodzaj okazów spotkaliśmy na tegorocznej wystawie, co na poprzednich; tylko, że znacznie mniej zgłosiło się wystawców i wystawczyń. Zawsze jeszcze amatorstwo i dyletantyzm nadają główną cechę temu rodzajowi sztuki i jego kierunkowi; zawsze jeszcze ktoś się bawi i próbuje czemś pożyteczniejszem czas zabić, więc próbuje malować, rzeźbić, inkrustować i t. p. Fachowo mało kto poświęca się temu zajęciu; a przecież o to właśnie chodzi, aby ta artystyczna żyłka wcieliła się w nasz przemysł i uszlachetniła pewną jego gałąź wytwórczą.

Jedyne drzeworytnictwo traktowane jest widocznie z praktyczniejszym charakterem i trzeba mu przyznać, że się świetnie popisało na wystawie. Rylec takiego Holewińskiego, Nicza, Gorazdowskiego, którzy zdobią specyalnie *Kłosy*, lub Zajkowskiego, Łoskoczyńskiego, Kleyna przynoszących zaszczyt wogóle drzeworytnictwu, a szczególniej *Tygodnikowi illustrowanemu*, w podziw wprawia widza. To postęp tak już znaczny, iż nie mamy tak bardzo zazdrościć czego Niemcom i Francuzom w xylografii.

Z wystawą dekoracyjną zetknie się jeszcze wystawa przemysłowa w Muzeum; dekoracye napływają obficie: zapowiada się tedy i licznie, i pokaźnie ten nowy popis naszej fabrycznej i rękodzielniczej produkcyi.

Gorzej wszelako będzie z naszym udziałem na wystawie przemysłowej w Paryżu; jakoś nie objawiamy wielkiej ochoty do uczestniczenia w tym międzynarodowym turnieju sztuki, przemysłu i wynalazków, który zapewne będzie ostatnim w Europie i wielkim deficytem zamknie okres wystaw światowych na bardzo długo, jeżeli nie na zawsze.

Od pewnego czasu odbywały się narady naszych przemysłowców w kwestyi „obesłania“ wystawy paryzkiej. Towarzystwo popierania przemysłu i handlu w Petersburgu poruszyło tę sprawę i przekazało ją filii warszawskiej do załatwienia. Z początku żądało 150 rs. od metra kwadratowego na wystawie, potem zniżyło cenę o rs. 35, ale pomimo takiego zniżenia, koszt zaprodukowania polskich wyrobów w Paryżu okazał się za wysokim, a przypuszczalne korzyści dla wystawców nie tak znów wielkie, aby warto było ponosić wydatki zbyt znaczne.

Około 400.000 rubli trzebaby wysłać z kraju na opłacenie miejsca naszego na wystawie powszechnej, a dziś, gdy z każdym groszem trzy razy obliczać się należy, całkiem wytłómaczoną wydaje się ta niezdecydowana postawa naszych przemysłowców, którzy wielkiej nie mają ochoty do wydatków.

Rubel wprawdzie, coraz weselej podskakuje na giełdzie europejskiej, ale naszym przemysłowcom coraz smutniej robi się z tego powodu; konkurrencya z zagranicą znowu staje się trudniejszą, produkcya nasza cierpi na tem, bo nie może rywalizować tak skutecznie z obcemi towarami pomimo ograniczeń cłowych.

Tak źle, i tak niedobrze; co jednym pomaga, to drugim szkodzi. Spada rubel—jęczą finansiści, podnosi się—pomstuje przemysł.

Z finansistami cieszyć się będą w tym sezonie wszelkiego rodzaju .. artyści, których długi korowód projektuje najście na muzykalną Warszawę; przy wyższym kursie rubla opłaci się im lepiej wyprawa do nas po oklaski i mamonę.

Pierwszy z brzega zawita Rubinstein *le petit*, młody a niepospolitej ręki i talentu pianista, d'Albert, którego słyszeliśmy z estrady koncertowej, gdy zaczynał swą świetną karyerę. Na mnie robił on wrażenie legendowego pacholęcia, które walczy z zębatym jakimś potworem; fortepian pod jego palcami jęczy, płacze, wścieka się i ryczy na przemiany, jak jakaś apokaliptyczna bestya. Tego Dawida fortepianowego mamy usłyszeć na pierwszym koncercie symfonicznym pod dyrekcyą p. Rzebiczka.

Na drugim Barcewicz stanie, jako solista; na trzecim da się warszawskiej publiczności poznać Kaliszanin z urodzenia, ale wychowany i wykształcony i przesiedlony na obcy grunt zagranicą, Moszkowski, znakomity dziś kompozytor, słynny ze swych utworów, jak i z dowcipu. Wreszcie na ostatnim koncercie symfonicznym da się słyszeć mistrz smyczka, Joachim.

Nie wiem, czy przepowiadać powodzenie takim gościom, czy też ubolewać z góry nad ich zawodem. W muzykalnej Warszawie nie można być nigdy pewnym tonu i taktu naszych melomanów. Przyjechał np. pierwszorzędny, znakomity dziś w całym świecie wiolonczelista Klengel, którym się zachwyca krytyka *unisono* i grał... przed pustemi ławkami: a na koncertach pseudo-węgierskich muzykantów tłumy się cisnęły do Doliny. Bądź tu mądrym!...

Ulubienica każdej publiczności, urocza Teresina Tua,—pamiętacie ją: skrzypicielka, która zachwycała nas wdziękiem pierwszej naiwnej, dołeczkami na buzi i łokciach, czarowała uśmiechem i sprytnemi oczkami więcej może, niż swoją grą, Teresina Tua wychodzi za mąż, za jakiegoś milionowego arystokratę. i w swej ostatniej przedślubnej podróży zawitać ma również do Warszawy z koncertem pożegnalnym. Będzie to łabędzi śpiew jej artyzmu i panieństwa.

Co do niej, jestem pewny, że nie wystąpi przed pustemi ławkami, zwłaszcza, gdy zechce się ukazać w ślubnej sukni z welonem i w wianku myrtowym.

Na początek Grudnia zapowiedział swój przyjazd znakomity kompozytor dużego talentu i poetyckiego natchnienia Czajkowski; ze Lwowa przybyć ma młody pieśniarz, nieznany u nas, ale zagranicą już ceniony, jako talent. Jan Gall; z Krakowa wybiera się Żeleński; własny koncert urządza dyrektor „Lutni“ Piotr Maszyński, wcielony kamerton naszej dzielnej drużyny śpiewaczej. Towarzystwo muzyczne sprowadza słynną na cały świat Minię Hauck śpiewaczkę etc. etc. (To etc. etc. stosuje się do dalszej listy zapowiedzianych koncertów, nie do śpiewaczki).

Będziemy zatem znowu opływali w muzyce, jak pszczoła w miodzie; ale tymczasem przechodzimy kryzys operową, bo nasze młode primadonny strejkują i nie chcą śpiewać dłużej za dotychczasową gażę.

„Niezmordowana“ pani Dowiakowska jest dzisiaj filarem na... urlopie; panna Herman nie może dojść do ładu ze swojem zdrowiem i biedaczka albo jest na kuracyi, albo wypoczywa po kuracyi, ale bądź cobądź nie może śpiewać często.

Panna Szlezygierówna, według jednych „cukierek“, według drugich „słowiczek“, według innych „słowiczek z cukru“ razem z pn. Dobiecką podały się do dymissyi, jako primadonny, za tanio dotąd oceniane, żądając lepszych warunków, któreby się im słusznie należały, jako bardzo pożytecznym siłom naszej opery; pozostała tylko niespodzianie pn. Dąbrowska, wschodząca gwiazda na warszawskim horyzoncie, która dziś podtrzymuje cały repertoar Świetny to materyał, głos piękny, pełny, donośny i podatny; dzisiaj rozpoczyna dopiero karyerę, ale za lat kilka przy tak szybkich dalszych postępach, jakie dotąd robiła, może zostać pierwszorzędną śpiewaczką i wówczas zacznie dyktować warunki, na które niekażda stołeczna scena będzie mogła się zgodzić.

Dyrekcya ma tedy kłopot z primadonnami, który dziś się skończy, a jutro znowu zacząć może; ale dyrekcya da sobie radę, bo już nie z takich opałów wychodziła.

Odżałować nie mogę, że nie byłem na otwarciu nowego Burgu w Wiedniu; jest to dziś niewątpliwie najwspanialszy pałac Melpomeny i Talii w Europie, zbudowany z ogromnym nakładem, urządzony z niebywałym przepychem i smakiem, kosztujący przeszło siedm milionów guldenów, prawdziwe cacko i drogocenny klejnot sztuki. Grają w nim tylko komedyą i dramat, ale jak grają!...

Zarzucają nam, że się zanadto zajmujemy teatrem: zapewne, że to nie dobrze przesadzać w tym kierunku, jednak cywilizowańsze od nas narody, mają tę samą wadę w jeszcze wyższym stopniu rozwiniętą, tylko, że ona ma tam charakter dodatni, nie jest gołosłownym frazesem i manią chwilową, ale wypływa z prawdziwego zamiłowania dla sceny i sztuki dramatycznej.

W Wiedniu np. zajmują się teatrem, ale i chodzą do teatru, popierają go, nie zaniedbują, rozumieją jego znaczenie, szanują jego tradycyą, uważają go nietylko za najprzyjemniejszą rozrywkę, ale i za świątynię sztuki, szkołę języka i źródło szlachetniejszych wrażeń dla serca i umysłu.

Publiczność dba o interessa sceny, a krytyka o interes sztuki i publiczności; ułomność ludzka wszędzie na jaw występuje: nie brak i tam wprawdzie koteryjek i zakulisowych tajemnic, jednak pokrywa je i przeważa nad niemi dbałość o dobro całości, o sławę starej instytucyi, o względy artystyczne.

To nie jakiś ślepy szał, który chwilami wybucha i na który stale liczyć nie można, ale prawdziwy entuzyazm i cześć dla sztuki, nie zostającej na łasce kaprysu i widzimisię publiczności, raz lepiej, drugi raz gorzej usposobionej. Prawda, że i scena i kierownicy, i artyści, muszą się liczyć tam poważniej ze wszystkiem; nie mogą lekceważyć ani swych obowiązków, ani powołania, ani spuszczać z oka ideałów sztuki i sceny. My w najżywotniejszych kwestyach nie posiadamy tych zalet, jakie tam posiadają choćby tylko w takich kwestyach teatralnych, bo tam tak często komedya bywa życiem, a u nas, niestety, życie bywa komedyą.

Chciałem czemś lekkiem zakończyć dzisiejszą gawędę, jakkolwiek znowu mógłbym się narazić na koleżeński zarzut pewnego tygodnika, iż szkoda czcionek na drukowanie moich felietonów, ale ostatnim wyrazem w moich notatkach kronikarskich jest: wściekliznа. Nie odnosi się on do pewnych figlarnych anonymów, króre zawsze zpoza jednego płotu celują we mnie kamyczkami lub błotem, ale do sprawy rzeczywistej, mającej bezpośredni związek z wodowstrętem.

Oto rozeszła się wieść, że oddział leczniczy dr Bujwida przy szpitalu wolskim, ma być zagrożonym w swej exystencyi z powodów... materyalnych. Na podobne zakłady lecznicze w Paryżu, tysiące franków złożono do dyspozycyi d-ra Pasteur'a; u nas, pomimo niezaprzeczonego pożytku i dodatnich rezultatów takiej lecznicy, cudem prawie utrzymywanej, nie mógł się znaleźć fundusz na zapewnienie jej, już nie rozwoju, ale spokojnego istnienia.

Dochody tego oddziału dla chorych na wodowstręt, czerpano z opłaty pacyentów, wynoszącej rs. 15 i z prywatnych ofiar naczelnego lekarza d-ra Bujwida, zajmującego się bardzo gorąco metodą Pasteur'a, a łożącego z własnej kieszeni pewną summę na pokrycie niedoborów. Trzeba dodać, że w ciągu swojego istnienia znaczna liczba chorych korzystała z porady i opieki, ani jednego zaś wypadku śmierci nie wykazała dotąd statystyka szpitalna na oddziale d-ra B.

I dlatego... dalsze istnienie tego oddziału zostało zakwestyonowane.

W ostatniej chwili dowiaduję się, iż Prezes Rady Dobroczynności Publicznej wdał się w tę sprawę i poczynił właśnie starania w celu uzyskania na przyszłość stałego zasiłku z funduszów szpitalnych na utrzymanie kliniki dra Bujwida, który w tych dniach wyjeżdża do Paryża, aby Pasteurowi przedstawić osobiście wyniki swoich badań i doświadczeń.

Oby po powrocie znalazł sprawę lecznicy pomyślnie załatwioną!

Quis.

* * *

Jedno dobre, tkliwe, szlachetne serce kobiece bić przestało! D. 21 Października r. b. zamknęła znużone długiem cierpieniem oczy Marya z Marczewskich Adamowa Kostrowicka, współpracowniczka pisma naszego w dziale przekładów, dokonywanych z delikatnem poczuciem piękna, z wielką starannością o czystość języka—z wielką starannością w wyborze przedmiotu, w czem przewodniczył jej nietylko smak dobry.

Nigdy w obrębie jej skromnej działalności literackiej nie wyszła zpod pióra rzecz licha, opierająca się na effektach nizkich, przedstawiając życie moralnie poniżone—mogąca razić nasze tradycyonalne uczucie kobiety dostojnej. Nie posiadając talentu twórczego, miała niemniej inteligencyą wyższą, umysł żywy i pełen zapału dla idei szlachetnych, dla świętości ojczystych, przy których stała silnie, aż do najmniejszych życia drobnostek, co łącząc się z poetycznością wrodzoną, czyniło ją w zakresie domowego i towarzyskiego życia istotą pełną wdzięku i tego niepowszedniego powabu, który rozlewa w koło siebie urok, umilający życie domowe i podnosi je nad powszedniość, grzęznącą w drobiazgach podrzędnych. Pobożna zawsze, odeszła z tego ziemskiego świata, na którym cierpiała ciężko, religijnie pojednana z Bogiem, zostawiając po sobie głęboki żal męża, matki, przyjaciół i rodziny, wśród której była miłym promieniem jasnego i ciepłego blasku.

M. Ilnicka.

NA KRASNYM DWORZE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów pobytu w Kijowie Bolesława Śmiałego

napisał

Fr. RAWITA.

(Dalszy ciąg).

Wyszatycz ujął rękę Jeremiego i całował.

— Mój ojcze, pokaż mi drogę... zabłąkałem się na manowcach!

Jeremi, jakby nie słyszał tych wyrazów, ciągnął dalej:

— Wiem jaką drogą prowadzi ciebie Izasław... On jeszcze nikogo na dobrą drogę nie wyprowadził. Czyż twoje łagodne serce powinno się było bratać ze Sławoszą i z Czudynem, z tymi rzeźnikami kniaziowskimi? Na kogóż godzicie? Na tego, który Ruś swoją drużyną zasłonił od Połowców, który Izasława posadził na stolicy ojcowskiej, który braterską wojnę zakończył! Siedzi tu: to źle, lepiej, żeby u siebie w domu siedział; ale nie godzi się na niego ręki podnosić, póki siedzi u nas, jak gość i przyjaciel ludu. Jeśli przeciwko nam broń podniesie—to inna rzecz: Bóg sam nakazał bronić się od wrogów. Teraz siedzi spokojnie...

Oczy błysnęły Wyszatyczowi.

— Spokojnie? Przecież na Krasnym Dworze, w jego choromach, jest Luda...

Jeremi zamyślił się.

— Biedne dziecko!—rzekł, żal tobie Ludy, ale zostaw ją temu losowi, jaki Pan Bóg dla niej przeznaczył. Niech się stanie, co ma stać się.

Wyszatycz, jak echo, powtórzył za Jeremim:

— Niech się stanie...

Stary czerniec zamyślony długą chwilę milczał, sam w sobie wzrok i myśl zatopiwszy, i zdawało się, że z głębin własnej duszy wydobywał jakieś dawne, dalekie wspomnienia.

— Mój synu!—rzekł — niewiasta rzadko daje szczęście na ziemi, choć wargi jej miodem opływają, a usta jej gładsze niż oliwa; bo ostatnie rzeczy jej gorzkie, jako piołun, a ostre jako miecz obosieczny.

Zdawało się, że te wyrazy dopełniały miary cierpień Wyszatycza; twarz jego blada wyrażała odcień walki wewnętrznej, odbywającej się w głębinie duszy.

— Widzisz, mój synu, żem dożył późnej starości, chociaż nie folgowałem memu życiu; sypiałem, nie na miękkiej pościeli, lecz na ziemi, pod głowę nie słałem sobie poduszek: drzewo było mojem posłaniem—a jednak Bóg mię zdrowiem nagrodził i sumieniem czystem. Zwalczyłem pokusę światową, która mnie nęciła do siebie, i w tej celi, u stóp Boga, znalazłem spokój i ciszę. A byłem, jak ty, młody, kochałem jak ty, płakałem nieraz, bo ta, której poślubiłem w cichości moję duszę, wolała bogatego bojara, niż kmiecego syna... Teraz już pewnie stoi przed tronem Boga... przebaczyłem jej dawno i w służbie bożej odnalazłem nowe obowiązki i pracę..

— Ojcze mój!—odpowiedział Wyszatycz—na około nas zasadzki wszędzie i zdrada! Myślałem, że służę matce mojej Rusi: a byłem tylko narzędziem w ręku cudzem; myślałem, że w sercu Ludy pogrzebię moje zwątpienia i smutki; ale jej serce zamknęło się przedemną... dziś nic nie pragnę tylko spokoju,

---

IX.

Niespodzianki.

Rozpoczęła się jesień. Wprawdzie jeszcze Kijowianie z ogrodów swoich nie zebrali winogradów, jeszcze grusze i jabłonie złociły się na drzewach, ale czereśnie czerwieniały już na krajach lasów złocisto-purpurowem liściem, a jarzębina i kalina koralowemi bukietami wpatrywały się w słońce południowe, wdychając w siebie jego promienie ożywcze i ciepłe. Natura cała dostrajała się do tego tonu spokoju, harmonii i ciszy, w jakie tak bogatą jest i dotąd ukraińska jesień.

Bolesław nigdy więcej nie był zajęty wojskiem, niż teraz. Nikomu o zamiarach swoich nic nie mówił, ale tajemnicą nie było, że zamiary wojenne mieć musi. Powiększył straże w obozie, obostrzył rygor, zakazał oddalania się z obozu do grodu i wszelkich z nim stosunków. Budziło to niezadowolenie, i rycerstwo szemrało dokoła, żądając powrotu do Polski. Póki wszystkim była zostawioną swoboda, póki bawiono się i pito miody z Kijowianami: pili i bawili się wszyscy, zapominając o domu i rodzinie; ale jak tylko król zamknął ich w obozie, gwałt powstał. Narzekali, ale słuchali, wiedząc, że król żartować nie lubi. Ginęło w sporach i bójkach z Rusią żołnierstwa niemało, ale ginęło wielu tak, że czasem śladu po nich nie zostawało: widziano tam, widziano ówdzie, potem raptownie ginął jeden po drugim, aż oto jednego znaleziono zakłótego w lesie, drugiego rybacy wyciągnęli niewodem z Łybedi lub Dniepru... Wojsko uszczuplało się. Żądał wprawdzie Bolesław posiłków z Krakowa, ale panowie nie przysyłali. Czekał z dnia na dzień: nie było, a tymczasem wojsko malało i szczuplało codzień. Nic więc dziwnego, że resztki, jakie mu jeszcze pozostały, skupił w obozie i rygor obostrzył. Wprawdzie do jawnego nieporozumienia z Izasławem nie doszło, ale widocznem było, że stosunki ochłodły, że coś dzieje się za plecami króla, że knuje się zdrada. Ostrzegano o tem Bolesława; ale Izasław przy zdarzonej sposobności zawsze jednako do niego przepijał, zawsze jednako był pokorny i usłużny. Poszlak nie brakło, ale dowodów zdrady nie było. Lada dzień oczekiwano czegoś.

Bolesław był codzień smutniejszy, codzień pochmurniejszy. Drażniło go, że jego prośby lekceważą panowie z Krakowa, że na żądania odpowiadają milczeniem.

— Bo i pocóż tu szedłem? — myślał w cichości. — Chciałem sławy dla Polski, chciałem zjednać dla niej braterską Ruś—a oni: ślepi chyba na to wszystko... Pycha ich zaślepia... Dalej nad swoje gęby i nosy nie widzą... Przecież lepiejby mi było w domu siedzieć i tylko im rękę do pocałowania wyciągać, niż tu czekać może haniebnego końca...

Drażniło go dwuznaczne zachowanie się Izasława i Rusi. Lada chwila potrzeba było zdobyć się na krok stanowczy. Cóż więc dziwnego, że w takiem położeniu wesołego oblicza nie pokazywał nikomu?

Nie pokazywał go także i Ludzie. Ona spostrzegła to już nieraz. Pierwsza myśl, która jej przyszła do głowy, była:

— Nie kocha mnie...

Myśl ta zrodziła się u Ludy drogą bardzo naturalną. U niej cały stosunek z królem rozpoczął się od serca: był dla niej litościwym i dobrym, przygarnął ją w chwili najcięższej w życiu, kiedy ukochanego ojca straciła. Tego było dosyć na początek. Ona pokochała młodego króla tą nieświadomą miłością, która nie pyta o przyszłość ukochanego, nie zastanawia się nad tem, co będzie potem: ona kocha dziś—i to dla niej wystarcza za wszystko. Oprócz miłości nie mieszały się do jej stosunku żadne inne uczucia i żądze. Siedziała na Krasnym Dworze w teremach królewskich, jak ptak w klatce przy oknie, któremu

kawał widzianego nieba wystarcza za świat cały. Szczęśliwą była, dopóki uśmiechało się do niej wesołe oblicze królewskie, po dziś następowało takiesamo jutro. O to jutro nie troszczyła się wcale; dla niej nie istniał król, ale człowiek, którego kochała. Co ją to mogło obchodzić: jakie myśli w głowie ukochanego króla błądzą, jakie on plany buduje i jak je wykonywać będzie? Ona kochała, żyła upojona tą miłością, czuła, że jest kochaną, i to wystarczało jej za wszystkie pragnienia, za świat cały. Zdawało się jej, że tak do końca życia trwać może, że uśmiechniona twarz pięknego króla nigdy się przed nią pochmurną nie ukaże. Cóż więc dziwnego, że kiedy dzień po dniu widziała niewesołe oblicze króla, pierwsza myśl, jaka jej przyszła, była:

— Już mnie nie kocha...

Myśl ta zawichrzyła spokój w duszy dziewczyny.

Szukała rozwiązania zagadki, ale nie znajdowała, bo szukała w sobie samej. Nie umiejąc znaleźć odpowiedzi na to wszystko, co się działo w jej duszy, szukała jej w modlitwie, poczęła częściej chodzić do Ławry, do Spasa. Nikogo znajomego spotkać tam nie mogła.

Raz w Niedzielę wracała z Dobromirą do domu, kiedy tuż pod samym Krasnym Dworem dopędził ją Putiata.

Luda ucieszyła się jakby ojca zobaczyła.

— Tak dawno nie widziałam was... Ach, Boże! wybrać się do was, do grodu nie mogę... Cóż tam ciotka Braczysławowa? Co Bogna? Żywi, zdrowi wszyscy?

Zarzucała starego pytaniami.

Putiata miał trochę zakłopotaną minę.

— Zdrowi wszyscy... i... żywi jeszcze... przynajmniej żywych zostawiłem, a Bóg wie, czy żywych zastanę.

Luda odgadła co to znaczy.

— Jeszcze się nie uspokoił... — rzekła półgłosem.

Zbliżali się już do częstokołu Krasnego Dworu.

— Chciałem ciebie zobaczyć, moje dobre dziecko — mówił Putiała łagodnie — no, i zobaczyłem.. Muszę już wracać. — Ot, już i furtę Krasnego Dworu widać!

Luda pocałowała go w rękę.

— Mój drogi ojcze, dziękuję wam za pamięć... Zajdźcie kiedy na kubek miodu i Bognę przyprowadźcie... Niech się mnie nie curają!

Putiata w czoło Ludę pocałował.

— No, bądź-że zdrowa... — rzekł. Chciał coś jeszcze mówić, lecz powstrzymał się.

Kiedy już Luda do furty wejść miała, nachylił się ku niej i szepnął:

— A bądź-no ostrożną i do ogrodu po zachodzie słońca nie chodź!

Do Dobromiry się zwrócił:

— Nie puszczajcie jej, matko...

— Czemuż to, ojcze? — spytała Luda.

Putiata znowu nachylił się ku niej i rzekł na odchodnem półgłosem:

— Zaczęsto Sławosza koło was się kręci.

Dobromira przeżegnała się.

Luda lubiła ogród Krasnego Dworu, przesiadywała tam często, a kiedy zwątpienie do młodej wstąpiło duszy, już terem był dla niej zaciasny, już go tam zwątpieniem wypełniła cały. Coraz częściej wyrywała się z ciasnej górnicy teremu do sadu, który Krasny Dwór otaczał. Dokądże miała uciekać?

Jeszcze tegosamego dnia, jak tylko słońce zaszło,—nie posłuchała porady Putiaty, ale, za popędem własnego serca idąc, poszła do ogrodu.

Ogród przy Krasnym Dworze był olbrzymim kawałem lasu tuż obok teremu; ogrodzony częstokołem dębowym, jak forteca, z jednej strony dotykał ujścia Łybedi, z drugiej odgraniczał się od Wydubyczów, z trzeciej stykał się z murami monasteru św. Michała na Wydubyczach, a z czwartej miał przed sobą Dniepr, szeroki, jak morze. Na wysokiem wzgórzu, niedaleko monasteru św. Michała, wznosił się Krasny Dwór, przodem zwrócony ku Dnieprowi i Perejesławowi. Dwór zbudowano niedawno, tak, że ledwie nieco z przodu oczyszczono krzaki, przecięto dęby, aby odkryć widok na Dniepr i okolicę; dalej szumiał las gęsty, aż do Łybedi. Od Dniepru wznosił się urwisty piaszczysty brzeg, porosły karłowatą sośniną, wilczem łykiem, na skrajach cierniem, a ku stronie Łybedi urwisko schylało się coraz niżej i niżej, aż nareszcie zbiegało na poziom dwóch rzek: Łybedi i Dniepru. Na uboczu nieco od polanki, zakończającej się piaszczystem urwiskiem, kazał jeszcze Wszewołod postawić drewnianą ławeczkę, na której lubiał siadywać i zdaleka patrzeć na ulubiony swój udział—Perejasław, a zkąd w dzień pogodny widział złocące się szczyty soboru.

Ławeczka ta była ulubionem miejscem odpoczynku Ludy. Teraz szczególnie, kiedy Bolesław, całemi dniami i nocami nieraz, przesiadywał w obozie, kiedy myśli, nieznane dawniej jej duszy, jak rój pszczół, brzęczały przed nią—chowała się pod stare dęby, gdzie stała Wszewołodowa ławeczka; tu było jej jakoś swobodniej i rzeźwiej. Schowana za konarami drzew, zasłuchana w ciszę jesienną, w łagodne szmery jaworów i dębów, patrzyła i nasycała się tym widokiem, jaki matka-natura rozpościerała jej przed oczami. Słońce już zgasło, tylko zpoza rumianych obłoków spoglądało jeszcze; po chwili i rumiane obłoki zginęły, pobladły, rozpłynęły się, jak posłańcy nocy, po szerokich lazurach niebios, gwiazdy poczęły się zapalać jedna po drugiej, a Luda siedziała ciągle, zasłuchana w ciszę, zapatrzona w daleką, spokojną okolicę po-dnieprza, i tę ciszę własnemi myślami ożywiała.

Podniósł się szeroki księżyc od Perejasławia, pobielał, skąpawszy się w Dnieprze, długim srebrzystym pasem przeciął głębinę wód dnieprowych i igrał po jego powierzchni migoczącemi promieniami. Noc coraz stawała się cichszą i głuchszą. Czasem doliną dnieprową przeleciał jakiś odgłos, odbił się echem po górach, i jak niewiedzieć zkąd przyleciał, tak niewiedzieć gdzie zginął. Tu i ówdzie nad brzegami Dniepru od Turchanowego Ostrowu, błysnęły na piaszczystem wybrzeżu, pomiędzy łozy, światełka rybaków, a wszystko to: i ostrów zielony, i daleką nizinę i łozy i Dniepr, w którym szerokiemi smugami kąpały się promienie księżycowe i migotały, jakby w głębinie niezmierzonej schowane, pokrywała noc harmonijna swoją ciszą i spokojem.

Luda siedziała jeszcze. Wązką ścieżyną przez ogród, a raczej las otoczony częstokołem, miał wracać Bolesław z obozu. W południe wyjechał i dotąd nie wraca, Luda nań czeka, chce zajrzeć w królewskie oblicze, chce widzieć, czy w jego oczach nie błyśnie myśl weselsza. Czeka i patrzy.

Naraz zdało się jej, że przez gęstą zasłonę dębowych liści mignęła łódź na Dnieprze i skręciła do brzegu. Wstała, pochyliła się nieco, rozchyliła gałęzie dębowe i patrzyła. Była to czajka w istocie. Trzech ludzi siedziało w niej, a dwóch wioślarzy lekkiem uderzeniem wiosła kierowało łódź do brzegu. Luda przypatrywała się śród ciszy. Wioślarze przywiązali czajkę do łozy tuż pod częstokołem, który do Dniepru dochodził, a trzej mężczyzni, którzy z niej wysiedli, poszli chyłkiem powolnym krokiem pod górę, w kierunku Krasnego Dworu. Minęła chwilka zaledwie, a zginęli w gęstwinie leśnej.

Luda nie mogła odgadnąć: coby to byli za ludzie i poco podkradali się nocną porą do Krasnego Dworu? Wahała się, co ma czynić: czy wrócić zaraz do teremu, czy czekać aż się pokażą aż pozna kto to? Bała się i chciała wracać. Nagle błysnęła jej myśl: może to król wraca? Została więc. Niedługo czekała, aż oto na polanie położył się cień długi, z początku jeden, potem drugi i trzeci—przesunęły się i znikły: widocznie przybyli schowali się pomiędzy drzewa. Przytaiła duch w sobie i czekała. Strach ją znowu opanował: to nie może być król, bo i pocóż miałby się skradać i chować za drzewo? A jeśli to nie król, jeśli ją tu znajdą? Nie było czasu na dalsze rozmyślania, bo w tej chwili jeden z przybyłych stanął o kilkanaście kroków od niej i dzięki tylko dębowym konarom nie dostrzegł Ludy. Za tym pierwszym szło dwóch innych, rozglądając się dokoła. Luda siedziała napół umarła.

— Niezadługo będzie wracać — rzekł pierwszy.

— Trzeba nasłuchiwać znaku—odpowiedziano szeptem.

— Nie bój się... stary da znać w czas jeszcze... On mu tego miodu, którym go uraczył na Krasnym Dworze dotąd zapomnieć nie może.

Luda zgadła o kim mowa, ale słuchała.

Głosy odezwały się znowu.

— Dalej trochę zatrzymamy się... tam są dwa dęby.. Ty, bojarynie, staniesz z jednej strony, a ja z drugiej... staraj się tylko dobrze trafić...

Ludzie przemknęła w myśli przestroga Putiaty.

Z kilku zasłyszanych słów rzecz się wyjaśniła. Byli to posłańcy Izasława: Sławosza i nieznanych dwóch innych. Takich posłańców Izasław nie posyłał daremnie.

Oddech zamarł jej w piersi; przed nią postępowali powoli, zbliżając się ku Krasnemu Dworowi, zabójcy wysłani dla zamordowania króla.

— Trzeba dać znać straży—pomyślała sobie. Ale jak? Można się natknąć na noże zbójców...

Za chwilkę wszyscy trzej odeszli na ścieżkę i umieścili się pod dębami, oczekując na znak, jaki miał im dać Dobrynia, który pilnował chwili wyjścia Bolesława z obozu. Luda zdecydowała się przebiedz drogę naukos pomiędzy krzaki i dostać się do teremu z przeciwnej strony. Kiedy już szmer uciszył się zupełnie, wstała powoli z ławeczki i zaczęła przez gęstwinę przemykać się do teremu.

Biegła tak cicho, że ledwie własne kroki słyszała; jednak czujne ucho Sławoszy pochwyciło szelest suchej trawy i gałązek pod nogami biegnącej Ludy. Zbliżył się do sąsiada.

— Ktoś tu jest? — zauważył.

— Któż-by był? Sowa chyba obudziła się i trzepnęła skrzydłami... Któżby inny.

Sławosza spojrzał ku teremowi.

— Cień przemknął się... zniknął...

— Sławoszo! cieniów się boisz! —to brzozą wiatr kołysze...

Tymczasem Luda zdołała przedostać się do teremu i straż o wszystkiem zawiadomiła. Posłano do obozu z ostrzeżeniem, ażeby król wracał inną drogą, otoczono częstokół, przerwano komunikacyą z łodzią i lada chwila miano w mocne ręce złowić podesłanych zabójców.

Tymczasem posłańcy Izasławowi czekali na przybycie króla. Oddawna już słyszeli długi i przeciągły świst Dobryni, jako znak, że król obóz opuścił; czekali na przybycie Bolesława, ale Bolesława nie było. Dobrynia dopilnował, że król wyszedł, ale nie dopilnował, jaką poszedł drogą. Nagle, na tejsamej ścieżce, którą miał powracać Bolesław, posłyszeli szelest kroków.

Posłańcy czekali. Ale szelest wzmagał się coraz więcej i więcej, słychać było wyraźnie nawołujące się głosy ludzkie, jakgdyby ogród cały napełnił się ludźmi. Zaniepokoiło to Sławoszę.

— Źle... — szepnął do Czudyna.

— Zdradził Dobrynia...

— Był tu ktoś...

Zbliżano się już do nich. Śmiały pochód, szczęk oręża kazał domyślać się, że zamiast Bolesława wypadnie im spotkać się z liczniejszą gromadą ludzi zbrojnych. Poczęli więc uciekać, ale przy łodzi stał już zbrojny orszak, a za uciekającymi goniło także kilkunastu ludzi. Nie było żadnego sposobu ratowania się; schwytano ich i skrępowano.

— Ho, ho! nocne ptaki! Nie w porę wybraliście się na polowanie!

— Do dworu łotrów prowadzić! Do dworu!

— Niechaj tam dorana posiedzą... rano zajrzymy im w ślepie!

Jeden ze straży począł przyglądać się Sławoszy.

— Tyś mi, ptaszku, znajomy... widziałem cię już pono...

— Znajomy... znajomy! — wołał inny. — Toż to przecie tensam, co w czerńczem ubraniu po jałmużnę do nas przychodził...

— Jutro go obejrzymy lepiej...

— Prowadzić ich do porubu.. niech się tam prześpią.

Rano stawiono wszystkich trzech przed Bolesława.

Chwilkę przyglądał się im w milczeniu. Na jednym dłużej spojrzenie zatrzymał: widocznem było, że go poznał. Był to piękny mężczyzna, może dwudziestokilkoletni; teraz butnie i hardo stawił się przed królem. Bolesław starał się nie zwracać na niego uwagi.

— Coście za jedni? — zapytał.

— Słudzy kniaziowscy...

— Słudzy? A jakże służycie kniaziowi? Zbójcy milczeli.

— Nie umiecie służyć inaczej, jeno z nożem w ręku; pokryjomu? Kto was posyła? Kto wam każe tak służyć?

Jeden z nich odezwał się groźnie:

— Posyła kto ma prawo posyłać!

Bolesław zamiast odpowiedzi skinął na Bolecha.

— Każ powiesić tych łotrów... jak żyli i służyli, taką śmiercią niech giną!

Podobnego zakończenia przesłuchania widocznie nie spodziewali się wszyscy; nie domyślali się, aby tajemnica morderstwa mogła być przez kogoś odgadniętą, a dowodów na to nie było żadnych.

Młody mężczyzna postawil się hardo

— Kogo każesz wieszać? Mnie?

— Wszystkich trzech—odpowiedział Bolesław spokojnie.

— Mnie? syna...

(Dalszy ciąg nastąpi)

LIST Z WŁOCH.

Rzym 19 Października 1888 r.

Poczynając od jubileuszu Leona XIII i pielgrzymek wszystkich narodów świata do Piotrowej Stolicy na Watykanie, żyjemy tu nieustannie wśród obchodów uroczystych i festynów wszelkiego rodzaju. Po wystawie bolońskiej i wspaniałej rocznicy tamtejszej *Alma Mater*, mieliśmy suto obchodzone zaślubiny księcia Aosty z księżniczką Letycyą Bonaparte, wnuką Wiktora Emanuela, co było świętem domu Sabaudzkiego, lecz dynastya *Ré Liberatore* jest tak kochaną przez Włochów, że stało się z tego święto narodowe. Następnie nadeszły uroczystości w Wenecyi zjazdu literatów, którzy jako członkowie „Międzynarodowego stowarzyszenia literatów i artystów“ zebrali się tam na kongres, mający postanowić prawa, któreby osłaniały własność literacką, naruszaną przez przekłady bez wiedzy i pozwolenia autora—bez wynagrodzenia go za to.

Że własność literacka ma niezaprzeczalne prawo swoje—nie ulega wątpliwości i jest to nawet może najprawdziwsza na świecie własność człowieka. Myśl twórcza i jej obrazy—to treść naszego ducha, wykwitająca w formach poetycznego piękna, lub prawdy filozoficznej,zasad naukowych, ale rzecz ta ma dwie strony. Że wydawca, który z płodów umysłowego tworzenia czyni przedmiot handlu, obowiązany jest zapewnić autorowi odpowiednie korzyści, to rzecz naturalna i logiczności swojej dowodzić nie potrzebująca; ale co innego jest, gdy ktoś te płody myśli naszej podjąwszy, współpracuje z nami, oblekając je w nową formę językową i tym sposobem roznosi je po świecie w przetworzeniu takiem. Że przekładzca nie otrzymuje przytem od wydawcy należności innej, jak tylko za trud przekładu, więc frymarku się nie dopuszcza. Czy przecież nie jest on obowiązanym, zwłaszcza wobec utworów ważności wyższej, zwrócić się do autora z doniesieniem o zamiarze swoim? to racya inna i słuszna, bo autor może nie chcieć, aby ktoś, niezdolny go pojąć i odczuć należycie. myśli jego krzywił i wypaczone, źle oddane pewnemu odłamowi czytelników przedstawiał.

Może być i to, że nie chce on, aby te ducha jego skarby szły tam kędyś, gdzieby on posyłać ich nie pragnął, żadnem uczuciem sympatycznego pociągu do tego nie skłaniany, choć tu może już on sam praw do takiej rogatki dla raz wydanej myśli nie posiada?.. Myślano o tem, pisano *pro* i *contra* niemało, ale to już w zakres mojego listu do was nie wchodzi; jako sprawozdawca tego, co tu mam przed sobą, zaznaczyć najpierw powinienem, że literatura i sztuka nasza bardzo nielicznie była na owym zjeździe reprezentowaną i nie miała delegatów urzędowych. Lenartowicz, choć miał drogę niedaleką, nie przybył,—nie przybył również i Władysław Mickiewicz, którego się spodziewano; ale znać nie są oni stronnikami tego, co ktoś bardzo dobrze określił, nazywając „sknerstwem ducha“. W gruncie rzeczy bardzo niewielu pisarzy, i to głównie Francuzów, powód zjazdu szczerze do serca bierze. Zjechano się głównie dlatego, aby się zebrać, w oczy sobie spojrzeć, dłoń podać i przez wymianę żywego słowa, jakąś nić, wspólnym interessem wiążącą, między sobą zadziergnąć.

Że zgromadzenie wyglądało uroczyście i rzecz odbyła się wspaniale, to już być musiało kwoli miejscu, na którem się to działo. Ten stary, klassyczny grunt włoski ma to do siebie, że wszystko odziewa szatą, w której i malutki rośnie. Jak więc mogło tu być inaczej, skoro włoski minister oświecenia, Boselli, otworzył zjazdowi, jako miejsce pierwszego zebrania, pałac Dożów, a w nim „Sala dei Pregadi“ przyjmowała przybywających. Sala to niegdyś obrad senatu weneckiego; od stropu do mozaikowej posadzki wszystko tu pyszne i drogocenne. Sufit złocony z malowidłami Tintoretta i Pawła Veroneza, starczyłby już sam, abyś pod jego powałą uczuł się przejęty wrażeniem niecodziennem. A ściany, okna, gzemsy... wszystko malowidła i rzeźby mistrzów: przepych i *grandezza* niewypowiedziana! Główna rada kongressu zasiadła po za stołami, które okrywał axamit purpurowy i zdawać ci się mogło, że śnisz jaki wielki sen przeszłości dalekiej.

Cóż, kiedy rzecz małoduszna agitowała się wśród tej wspaniałości starej! I poprzednicy nasi wśród tych miejsc: senatorowie Rzeczypospolitej Ś-go Marka, obradowali tu nad sprawami zysku i wziątku: nad sprawami handlu, który gromadził złoto, pozwalające im rozwinąć taki przepych i mieć taką sztukę, takie gmachy—ale inaczej to szło! Życie utorowało sobie dwie drogi, a każda szeroka. Handlowali, kupczyli, pływali po morzach dalekich za zdobyczami i łupem, zagarnianym Bóg wie gdzie—jedni. Lecz ci drudzy, którzy tworzyli cech inny, ci mieli czystą, głęboką miłość i cześć ideału—ci byli prawi sztukmistrze. Sypano im wprawdzie złoto za dzieła ich natchnienia, ale oni nie dlatego złoto tworzyli—nie zjeżdżali się na kramarskie narady, nie zacinali się nad tem, aby nie uronił im się jaki okruch zysku, jak to właśnie miało miejsce wśród obrad pierwszego zaraz zebrania kongresu.

Po słusznej, ze względu handlowego, naganie usankcyonowania przez rząd Stanów Zjednoczonych pirateryi księgarskiej dowolnych przedruków, Juliusz Lermina, stały sekretarz stowarzyszenia postawił wniosek, logicznie nie dość ugruntowany, aby przekłady bez pozwolenia i opłaty złożonej autorowi, uważać za proste przedruki i jako takie ścigać. Popierał go jeden Francuz i jeden Włoch, ale z łona sekcyi włoskiej wystąpiono z silną oppozycyą. Paolo Fambri, liczący się do rzędu literackich zakomitości, odezwał się bardzo żywo przeciw temu. Człowiek to już ze siwemi włosami u skroni; młodość jego przypadła na czas, gdy serca włoskie grzały się u ognia wielkich uczuć i wielkich idei, więc też nie mógł dać głosu za tem „sknerstwem ducha“. Wspomógł go w szerszych na piśmiennictwo poglądach, Bolafii, a po nim inni jeszcze i obrady się rozgrzały, roznamiętniły nawet tak, że wezwano obradujących do porządku dziennego. Kilka godzin czasu oddano roztrząsaniu praktycznej strony przedmiotu: kwestyi umów i kontraktów literackich, stosunkom autorów do wydawców, czyli tworzenia literackiego do handlu jego produktami.

Ze jednak tam, gdzie się zbiera tylu ludzi myśli, przedmiot finansowej natury nie mógł starczyć za całe zajęcie, więc musiano dodać tu i coś innego jeszcze. Były cztery odczyty: prof. Malmenti mówił o Wenecyi w sztuce i literaturze francuzkiej; Hiszpan Calzado o włoskim komedyopisarzu Goldonim, prof. Fradeletto uzupełniając niejako ten przedmiot o komicznym teatrze we Włoszech, Prof. de Leva o historyi włoskiej i dziejowej missyi narodów.

Wymowa włoska ma swoje cechy i właściwości południowej natury. Gorąca jest, pełna gestów, mówca każdy ma w sobie coś retora; nas to razi silnie, zwłaszcza z początku, ale ta exaltacya działa jednak przez swoję ogromną wyrazistość, i gdy rzecz wchodzi w zakres przedmiotu, który ma nad sercem ludzkiem prawo porywu, unosi rzeczywiście i zapał swój przelewa w słuchaczy.

Dla przyjemności członków zjazdu urządzono szereg wycieczek do rozmaitych miejscowości okolicznych, godnych widzenia. Zwiedzono wysepki lagunów weneckich, których opis niżej podpisany podał wam właśnie w ostatnim liście, z Lipca podobno. Kto wie, czym nie widział lepiej i więcej, przybywając tam sam i bez żadnej egidy urzędowej i mógł pochwycić życie na gorącym uczynku, w jego ruchu i wyrazie naturalnym.

Pobyt cesarza niemieckiego w Rzymie, to punkt kulminacyjny nietylko wszystkich tegorocznych festynów włoskich, ale bogdaj czy nie wypadek historyczny? Po Petersburgu i Rzymie Wilhelm II przybywał do Wiecznego Miasta, gdzie przecież znajdował dwóch gospodarzy, którym zarówno trzeba było świadczyć godność. Ale młody monarcha należy do tych, którym upraszcza to wielce drogę, że idą przed siebie z wielką siebie pewnością, a pochód taki każe zwykle usuwać się z drogi przeszkodom, które komuś innemu stawałyby się na tej drodze ambarasem i mitręgą. Cesarz niemiecki znalazł się na ziemi włoskiej w Pontebie, gdzie na niego oczekiwało dwóch wysłańców króla Humberta—dwóch zasłużonych generałów, z któremi jednak młody władca nie robił sobie żadnego kłopotu. Generał Lanza miał włożony na siebie obowiązek powitania cesarza i zaproszenia go na śniadanie, które gotował najsłynniejszy na całe Włochy kucharz, Doney, sprowadzony na ten cel z Florencyi, ale rzecz niełatwą się pokazała w wykonaniu. Gdy pociąg cesarski zatrzymał się przed wspaniale udekorowanym dworcem kolei, generał stojący już na stanowisku, zmieszał się niesłychanie, nie wiedząc co ma począć, bo cesarz nie ukazał się w oknie wagonu? Stał na miejscu zasłużony żołnierz zpod chorągwi Wiktora Emanuela w przykrem tem położeniu wahania się i niepewności, aż po chwili marszałek dworu cesarskiego Liebenau wysiadł do niego i wezwał do wagonu cesarza, który, choć to było południe, właśnie, śniadania odmówił. Nie wysiadł wcale i nikt z jego orszaku: nikt go nawet w oknie nie widział.

Powtórzyło się to niemal identycznie we Florencyi, gdzie oczekiwały na dworcu władze miejskie, z pompą, którą nadają tu ludziom tradycye przeszłości, wyżsi oficerowie, znakomitsi Niemcy, publiczność starego grodu ze wspomnieniami Medyceuszów. Młody cesarz wysiadł tu wprawdzie, ale tylko na parę minut, przemówił kilka wyrazów i wsiadł napowrót do wagonu, zkąd nawet widzieć się nie dawał.

Około czwartej z południa przybył do Rzymu. Hymn pruski: „Heil Dir im Siegeskrantz“ rozległ się może raz pierwszy wśród starych tych murów i tu już Wilhelm II ukazał się w oknie, bo na peronie stał król Humbert z następcą tronu, z książętami Aosty i Genui, dalej Crispi z całem gronom ministrów i syndyk miasta, margrabia Guiccoli. Powitanie między dwoma królami było bardzo serdeczne, chociaż Crispi dostał za bardzo nizki ukłon najpierw jeden palec przyłożony do kasku, potem dwa palce, które się do niego powoli wyciągnęły. Ulice Rzymu aż do Kwirynału były wspaniale przystrojone, dekoracya domów i okien pyszna; przed termami Dyoklecyana trybuny dla pań i ciała dyplomatycznego, a gdy powóz wiozący monarchów stanął przed Kwirynałem, cesarska chorągiew niemie-

cka podniosła się natychmiast obok sztandaru królewskiego, a że wiał lekki wietrzyk zachodni, rozwinęła się w ten moment wspaniale i stworzyło to pewien effekt malowniczy i uroczysty.

To było powitanie urzędowe: powitanie dworu; ale po zatem wyszło z łona ludu rzymskiego, inne, będące wyrazem niechęci ludowej dla polityki Crispiego i Wilhelm II usłyszał na drodze swojej, niejeden głos wołający: — Niech żyje Francya! Niech żyje Alzacya i Lotaryngia! Niech żyje Tryest i Trydent! Precz z potrójnem przymierzem!...

Gdy mijano Termy Dyoklecyana, z drzewa stojącego przy drodze, spadł do powozu monarchów deszcz czerwonych kartek z podobnemi napisami. Że przecież rozrzucanie po mieście różowych kartek z portretem Wilhelma II-go i podpisem: Niech żyje! wchodziło w programmat przyjęcia, król sądził, że to są właśnie takie i pierwszy podał jedną z nich gościowi, uśmiechając się wesoło. Stało na niej właśnie:—*Evviva la Francia.*

Wilhelm II zwinął cienką tę karteczkę tak, że stała się niczem. Nie cisnął gniewnie, nie rozdarł, tylko unicestwił ją w milczeniu ruchem palców, które obnażył z rękawiczki.

W czasie powitania cesarza przez królową Małgorzatę w historycznej sali Szwajcarów, zamienionej w oranżeryą, dały się też słyszeć na placu okrzyki—*Evviva la Francia!* zahuczało pod oknami Kwirynału; głosy innych *Evviva!* usiłowały to zagłuszyć i stał się z tego wrzask, ryk, jaki tylko wśród ludności południowych spotkać można. Nie chciano się uciekać do aresztowania podczas pierwszych wrzaskunów, były gardła przygotowane na to, aby je zakrzyczeć, ale to nie z plebsem rzymskim, nie na Kwirynalskim Placu mogło się powieść. Musiano wezwać nietylko policyi, lecz i wojska; lecz ci, co krzyczeli nie żądali też niczego więcej nad to, aby się dać słyszeć, dać znać o sobie. Cesarz Wilhelm oddawał zaraz tego dnia wizyty członkom domu królewskiego, a potem jadł kolacyą, mając królową po swojej prawej stronie.

Nazajutrz o godzinie wpół do drugiej wyjechał z ambasady pruskiej przy Watykanie we własnym odkrytym powozie, w cztery konie z forysiami powążącemi z siodła. Kordon włoskiego wojska wyciągnięty od domu ambasady: pałacu Capranica, przez ulice i most Ś-go Anioła, aż do połowy placu Ś-go Piotra, tworzył szpaler. Gdy powóz wjeżdżał na plac, orkiestra ustawiona w jego pośrodku pod obeliskiem, ozwała się. Zagrano znowu: „Heil Dir im Siegeskranz!" zatem brzmiało to w powietrzu rzymskiem dwukrotnie od Kwirynału do Watykanu i tylko w pauzie między temi dwiema muzykami ozwały się chóry—lud włoski krzyczący gromko:—Abbassoa la triplice allianza.

W Watykanie pod *Portone di Bronzo* stała uszykowana gwardya Szwajcarów, w ubiorach rysynku Rafaela, barwy złotej, czarnej i czerwonej, z halabardami, w hełmach ze spadającemi na dół piórami. Porządek trzymali żandarmi papiezcy w czarnych trakach, w białych zamszowych pantalonach, w palonych butach do kolan i w niedźwiedzich kołpakach na głowie.

Na dziedzińcu Ś-go Damazego, który cesarz potrzebował przebywać, stała kompania honorowa: *Gwardya Palatina* w ciemno-błękitnych frakach bramowanych złotem i purpurą. We wnętrzu Watykanu pełniły służbę jeszcze dwie gwardye: *Guardia Nobile* w czarnych frakach ze złotem haftem, w białych spodniach i wysokich butach lakierowanych, przy pałaszach i w hełmach ze spływającemi kitami czarnych grzyw końskich, oraz kawalergardy papiezkie, to jest straż Papieża przyboczna, kawalerowie *di cappa e spada*, w której służą synowie najwyższej już szlachty rzymskiej: książęta, margrabiowie, hrabiowie Każdy z kawalergardów ma pierś usianą orderami, a mundur jest starohiszpański, z czasów Karola I go.

Piszę wam to wszystko tak szczegółowo, bo jest to jak jaki karton średniowieczny niewypowiedzianego effektu i malowniczości, gdy się to jeszcze ugrupuje na tle dziedzińców, wielkich wschodów, ganków i *logii* Watykanu, które budowali Michał Anioł i Bramante. Wilhelm II ma też w każdym razie dobry smak, że zapragnął zażyć tego widoku, który jest jedynym w świecie, nigdzie niepodobnym do powtórzenia, do naśladowania.

Powozy orszaku i osób dopuszczonych na ten dzień do Watykanu zajeżdżały z lewej strony, a osoby wysiadające z nich ustawiały się szpalerem na głównych wielkich schodach, aż nakoniec trąbki sygnałowe z placu Ś-go Piotra, dały znak, że cesarz się zbliża i powóz jego zajechał z prawej strony przez *Via delle Fondamente* i wjechał na *Cortile San Damazio.*

Młody cesarz w białym mundurze leibgwardyi pruskiej, wyskoczył żywo i młodo z powozu, gdzie miał po lewicy Schlözera, a zdjąwszy z głowy złocisty kask z białym pióropuszem, skłonił się dygnitarzom, który stanęli u drzwiczek powozu. Był to najpierw Monsignor Macchi, *maggiordomo* czyli marszałek dworu papiezkiego, M-gr Casetta *elemosiniere segretto*, albo wielki jałmużnik, dalej najwyżsi oficerowie kawalergardów *di cappa e spada.* Wiedziono cesarza w tejparadzie przez wielkie wschody, pełne dostojnej publiczności, stojącej po bokach. W sali *Clementina* straż gwardyi Szwajcarów, w dalszych salach gwardya szlachecka i kawalergardy prezentowali broń. W *sali tronowej* cała świta przyboczna pozostała i jeden tylko z przybocznych szambelanów papiezkich (cameriere segretto) zawiódł Wilhelma II do Żółtej Sali, gdzie oczekiwał go Papież. Rozmawiano 26 minut.

Czego żądano wzajemnie i co uradzono? nikt nie wie...

(Dokończenie nastąpi)

DOLINA KOWIEŃSKA.

Widziałem piękną dolinę przy Kownie,
Kędy rusałek dłoń wiosną i latem
Ściele murawę, krasny i dzierzga kwiatem;
Jest to dolina najpiękniejsza w świecie.
(*Grażyna*).

Natura—to nieprzebrana skarbnica dla ducha poetów, którzy umieją dopatrzyć najdrobniejszych szczegółów piękna w niej rozlanego i ukrytego dla oczu zwykłego śmiertelnika; umieją zespalać między sobą wszystkie szczegóły w jednę harmonijną całość, a przepromieniwszy ją duchem swoim, podają przed oczy zdziwionego widza obraz pozornie zupełnie podobny do istniejącego w naturze, a jednak o całe niebo wyższy i piękniejszy, bo przetworzony w duchu poety, podniesiony na stopień ideału. Jedna i tasama rzecz, jeden i tensam objaw przyrody może stosownie do zewnętrznych okoliczności i nastroju ducha widza wywoływać najróżnorodniejsze, a często i sprzeczne z sobą uczucia. Nie ulega wątpliwości, że człowiek w otaczającym go nazewnątrz świecie radby zawsze znaleźć dokładne odźwierciedlenie stanu swojego ducha w danej chwili. W godzinach pogodnych dopatruje wokoło siebie uśmiechu, swobody i wesela; a gdy przez piersi jego przepłyną burze życia, widzi w tymsamym przedmiocie ból i niedoli łzy. Subjektywizm — to naistotniejsza cząstka natury człowieka, istniejąca w nim zawsze i wszędzie, a wybuchająca gwałtowniej u natur wrażliwych i zapalnych. Nie dziw więc, że nastrój duchowy danej chwili każe nam zachwycać się tym lub owym przedmiotem i wiązieć w nim takie przymioty, jakich on w istocie nie posiada wcale. Tembardziej nie dziw, gdy wielcy poeci przystrajają naturę w cudnych barw szaty i pewny jej obraz, niczem zresztą nieróżniący się od wielu innych podobnych, czynią owiele piękniejszym, niż jest w istocie.—Mickiewicz kazał dolinie kowieńskiej być najpiękniejszą w świecie. Pobyt poety w Kownie był—jak wiadomo—chwilą wielkiej wewnętrznej walki skutkiem miłosnych stosunków z Wereszczakówną. Zbolały, szukał lekarstwa w ciszy i spokoju na łonie pięknej natury i łatwo znajdował tę ciszę wśród „tych pagórków leśnych i tych łąk zielonych, szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych." Szczególnie ulubionym celem przechadzki poety był wąwóz, ciągnący się w niewielkiej odległości od miasta, którego część, nosząca obecnie u wszystkich miejscowych mieszkańców nazwę Doliny Mickiewicza. Wąwóz ten, którego największa szerokość nie przewyższa stu kroków, ciągnie się w stronie wschodniej za miastem, poczynając się śród lasku obok zaścianka Girstupie, a kończąc się u samych brzegów Niemna, gdzie stopniowo przechodzi w płaszczyznę. Przez całą jego długość przepływa od północy na południe wpadający do Niemna maluczki strumyk, zwany Girstup dawniej, jak można wnioskować z koryta, owiele szerszy; obecnie można go z łatwością przeskoczyć w najszerszem miejscu. Po obu stronach wąwozu piętrzą się góry, pokryte prześlicznym lasem, jodłowym przeważnie, który wszakże, im bliżej dworca kolei, staje się coraz rzadszym i w końcu ustępuje miejsca zabudowaniom. Obecnie część tego wawozu od tunelu kolejowego aż do Niemna, utraciła zupełnie pierwotne swe znamiona: las wycięto, pagórki zrównano, przeprowadzono drogę żelazną i pobudowano domki strażników, a dalej blizko Niemna, dworzec kolei. Natomiast znacznie większa część wąwozu, ciągnąca się od tunelu wprawo, dla podróżnych jadących koleją do Kowna zachowała pierwotne oblicze swoje, pomimo przeprowadzonej przez nią, na krótkiej zresztą przestrzeni żwirówki, prowadzącej z miasta do nowopobudowanych fortyfikacyi zamiejskich.

Przeszedłszy drogą około wiorsty licząc od tunelu, napotykamy wśród wąwozu chatę dróżnika, a naprzeciw górę, zwaną Piotrówką; od tego-to właściwie miejsca zowie się wąwóz Doliną Mickiewicza; nieco dalej o jakie pięćset kroków, spotykamy drugą chatę strażnika leśnego, doskonale znającego miejscowość i wskazującego miejsce, gdzie leżał kamień, na którym tak lubił siadywać poeta i rosnący wśród wąwozu dąb, na którym jakoby miało być wyryte nazwisko poety. Dąb istnieje dotychczas; w wypalonym otworze jego gnieżdżą się osy, znosząc miód pracowicie; zaś kamień oddawna już został rozsadzony prochem i użyty na budowę żwirówki. Cisza bezwzględna zalega tę miejscowość; żaden szmer nie doleci do ucha, tylko czasem ptak krzyknie w zaroślach lub cicho zaszumią drzewa.

Na pierwszy rzut oka dolina ta niczem bezwarunkowo nie uderza; nawet owych kwiatów, rozsypanych dłonią rusałek, nie widzimy; ale trzeba wsłuchać się w tę ciszę, wpatrzyć się w te drzewa, a nadewszystko odtworzyć sobie postać wielkiego poety, a wówczas zobaczymy odświętne szaty tej natury i w sercu naszem święto zagości.

Dolina ta jest zbyt wązka i zbyt wysokiemi stosunkowo otoczona pagórkami i dlatego bardziej na miano wąwozu leśnego zasługuje; śliczny las, jodłowy i dębowy napoły, dodaje jej wiele uroku, zwłaszcza wieczorem, gdy zachodzące słońce rzuci ostatnie blaski na drzew szczyty, a w niej samej zapanuje łagodny mrok wieczorny. Murawa, nizka i podeptana nogami pasącego się często bydła, zaścieła cały wąwóz i zrzadka tylko można spotkać się ze zwykłym kwiatkiem leśnym, nieśmiało wychylającym wśród trawy głowę. O kilkaset kroków dalej, za chatą leśnika, kończy się właściwie Dolina Mickiewicza, a wąwóz zarosły przeważnie krzakami leszczyny, ciągnie się jeszcze dalej o kilka wiorst, rozdziela się na kilka gałęzi i w końcu ginie w okolicach zaścianka Girstupie. Wogóle cała ta okolica ma istotnie wiele uroku w sobie; jakkolwiek widoków prawie żadnych nie daje, ale natomiast ta niezwykła cisza, ten spokój rozlany wokoło, magicznie oddziaływają na duszę człowieka, pragnącego swobodnie i samotnie przepędzić kilka chwil. Okolic takich, takich cichych ustroni, tam nie braknie są bezwątpienia owiele piękniejsze, jak naprzykład Nowogródzkie lub okolice Wilna: trzeba jednak było wyłącznego stanu ducha poety, wyłącznych okoliczności, ażeby tę,

a nie inną, ustroń, tak doskonale harmonizującą z uczuciowem usposobieniem Mickiewicza, nazwać doliną najpiękniejszą w świecie.

Na zakończenie dodajmy, że słowa poety w „Pieśni“ z „Konrada Wallenroda:“

Wilia w miłej kowieńskiej dolinie
Wśród tulipanów i narcyzów płynie...

nie mogą żadną miarą stosować się do tej właśnie doliny, ponieważ Wilia płynie w odległości pięciu wiorst od jej krańca. Widocznie miał tu poeta na myśli inną jakąś dolinę, jakich nie braknie u brzegów „strumieni rodzicy;“ albo poprostu, korzystając z praw poety, wytworzył we własnej wyobraźni dolinę, usłaną tulipanami i narcyzami.

J. Nitowski

NOWINY PARYZKIE.

Paryż 1 Października 1888 r.

Powrót lata.—Polowanie. — Obojętność na morderstwo.—Moda. — Co ma zastąpić łowy? — Amatorowie fotografii. — Nowy bzik wielkiego świata. — Giełda fotograficzna. — Nieprzyzwoitość w literaturze. — Obrachunek zrobiony w powieściach Zoli.— Renan i jego „Ksieni.“ — Ciekawy list do dyrektora Wolnego Teatru.— Wielka literacka attrakcya —„Pamiętnik Fryderyka III-go.“—Rapport kanclerza i opinia we Francyi.—P. Chevreul i ludzie wiekowi.—Warszawianka najstarszą z osób stuletnich we Francyi.— Słowo w jej sprawie. — Śmierć marszałka Bazaine'a— Osobiste wspomnienia.—Straszny przykład.—Śmierć malarza Boulanger'a i aktora Berthelier.

(Dokończenie.)

„D. 15 Lipca 1888 r,

„Kochany panie. Ponieważ myśl, którąś mi WPan zakomunikować raczył, wyszła od człowieka tak wytwornego smaku, jakim jesteś pan dobrodziej, zbyt więc jest zaszczytną dla mnie, abym mógł odpowiedzieć odmownie. Schlebia mi to nieskończenie—zapewniam WPana—i nie zaprzeczam temu, że sam uważałem często pewne ustępy „Ksieni z Jouarre“ jako zdolne wywrzeć żywe i silne wrażenie. Oto, jakie są moje zastrzeżenia w tym względzie: Sztuka, przedstawiona miernie, mogłaby całkowicie chybić swego celu. Układ sztuki jest taki, iż, mówiąc prawdę, zawiera ona jednę tylko rolę: ksieni, rolę długą, pełną delikatnych odcieni, wymagającą artystki pięknej i posiadającej talent potężny; w braku takich warunków, lepiej jeszcze się ograniczyć na prostem tylko przeczytaniu książki...“

„To, co się stało we Włoszech, było wypadkiem woli jednej tylko aktorki, pani Duce, artystki wielkich zdolności, która po przeczytaniu mojej książki rozmiłowała się w charakterze ksieni i zapragnęła koniecznie odtworzyć go na scenie. Udało jej się to w zadziwiający sposób. Czy masz WPan kogo pod ręką, ktoby się mógł podjąć tego trudnego zadania?

„Muszę tu dodać, że doświadczenie dokonane na małym, przygodnym utworze, który napisałem na jednę z rocznic Wiktora Hugo, przekonało mnie, że język francuzki, jakim ja piszę, trudny jest do zatrzymania w pamięci aktorów....

„Wszystko się więc sprowadza do tego jednego pytania: czy masz WPan kogo do wystąpienia w roli „Ksieni,“ coby się zgodził na tak wielki wysiłek dla jednego lub dwóch może przedstawień?...

„Gdybyś się WPan zdecydował na wystawienie „Ksieni“ — pragnąłbym, aby przedstawioną była w zupełnej całości, tak, jak jest drukowaną, w pięciu aktach. Przyznaję, że jest to zupełnie przeciwne zwyczajom teatru, przeciągać na dwa ostatnie akty przedstawienie sztuki, której największy effekt przypada na akt trzeci; ale myśl moja, bez tych dwóch ostatnich aktów, staje się niepełną. We Włoszech opuszczają dwa ostatnie akty prawie całkowicie, ale trudno mi jest pojąć: jakim sposobem ogół akcyi mógłby nie być ostatecznie koszlawym przy takiem obcięciu końca.

„Zastanów się raz jeszcze, kochany panie—przedsięwzięcie WPana jest tak zaszczytne, próba, jaką mi proponujesz, może być tak wielce zajmującą, iż się jej poddam z całego serca. Ale powodzenie wydaje mi się wątpliwem! Pomyśl więc, kochany panie, obrachuj dobrze swe środki, etc.

E. Renan.“

Tak więc książka, której nie śmieliśmy polecać czytelnikom naszym—a której czytania stanowczo-bym wzbronił córce swojej — będzie wyprowadzoną na scenę, gdzie znajdą się ludzie, co ją okryją oklaskami, choćby jedynie dlatego, aby—„dokuczyć *klerykałom*.“ Nie dziwi mnie to, że pani Duce podjęła się wystąpienia w Rzymie, wcale mnie to nie dziwi. Kto zna tę panią Duce, i tych, co na to kazanie dzwonili w Rzymie,—ten łatwo zrozumie: dlaczego i na co to się stało? Ale, że p. Renan z takim naciskiem domaga się, aby to wszystko było wystawione na scenie, co do joty, to wszystko, co się ukrywa w jego cynicznej książeczce—to może zawiele...

Ponieważ weszliśmy na pole literatury, nie schodźmy zeń, niepowiedziawszy kto się dziś cieszy największem powodzeniem i tu—i na całym bożym świecie? Oto niemiecki przegląd *Deutsche Rundschau* ze swym pamiętnikiem Fryderyka III-go. Co w tem ogłoszeniu zadziwia szczególnie, to śmiałość, z jaką wystąpił naprzód ten miesięcznik w kraju, gdzie przecież porządek jest tak szczelnie przyśrubowany pod nadzorem kanclerza, że tu o żadnej niespodziance nie może być mowy, ani dla redaktora, ani dla wydawcy; a nawet szanowna publiczność jest tak już wdrożona w ten porządek, tak umie i chce trzymać język za zębami, że wobec rzeczywistej niespodzianki owa publiczność niemiecka poprostu—*obstupuit*.

Czytaliście bezwątpienia ten pamiętnik, a przynajmniej ustępy wyjęte z niego do *Rundschau*. Nie potrzebuję wam chyba mówić, co w sobie ten zajmujący dokument zawiera; wspominając tu o nim, chcę tylko dać wam wyobrażenie o tem, jak całą tę sprawę przyjęto i zrozumiano tutaj, we Francyi, a zwłaszcza w Paryżu.

Kanclerz, jak widać, jest processowiczem starego autoramentu, zacząwszy od processu Arnima do dzisdnia, powiadają, że już szesnastą wytacza sprawę: o zdradę państwa! *Tutti gusti sono gusti*—jak mówią Włosi—nie to więc zadziwia, że pociąga do sądu Rodenberga i Pätela; ale że w rapporcie swoim sam roztrząsa powagę, dążności i polityczną zdolność ukoronowanego autora—podając w podejrzenie nietylko sztukę robienia dobrej polityki, ale i dobrą wiarę nieboszczyka. A najgorszą ze wszystkiego jest sama ta okoliczność, że taki rapport o ojcu mógł znaleźć approbatę syna.

Któż ma teraz bronić niewzruszonych zasad władzy i uroku berła królewskiego, jeżeli urzędowi obrońcy sami biorą się do podkopywania najgłębszych fundamentów? Patrzą więc tutaj na to, jako na widowisko dziwne i tajemnicze, szczególnie z powodu zapytania: w kogo p. Bismarck celuje? Bo jeśli chodzi mu tylko o redaktora i wydawcę przeglądu p. Rodenberga, albo Pätela, to rozmach zdaje się zawielkim. W kogo więc mierzy kanclerz [1])? Oto pytanie—i ono jedno, tylko zajmuje w tej chwili tutejszą publiczność i prassę, bo reszty domyślaliśmy się już dawno; a chociaż zaprzeczano temu dotąd *mordicus* w Berlinie, co dziś potwierdza pamiętnik cesarski — wiedzieliśmy dlaczego. Czekajmy więc teraz: kogo powołają do kratek lipskiego sądu, i czyje oblicze wyjdzie na jaw, do zdarcia maski? To cały sęk!... bo, że sąd zastosuje swój wyrok do konkluzyi rapportu kanclerza — o tem nikt tu nie wątpi. Czekajmy więc. Nie mogłem opuścić tak ważnej rzeczy, aby wam nie powiedzieć słów kilku, mogących was poinformować o tem, jak tu patrzą na całą tę tajemniczą sprawę.

Niedawno obchodzono 102-gą rocznicę urodzin sędziwego professora chemii Chévreul'a, która była powodem nader zajmującej pracy, odczytanej na posiedzeniu Akademii Nauk Moralnych i Politycznych, d. 7 Lipca, przez członka tejże akademii p. Levasseura o osobach, które we Francyi dożyły stu lat, albo nawet i poza setkę sięgnęły.

Praca p. Levasseura, oparta na dokładnych urzędowych wiadomościach, czerpanych z wydziału statystyki powszechnej — podaje ciekawy spis ośmdziesięciu przeszło staruszków obojej płci, którzy dożyli tak późnej i rzadkiej dziś starości; a rzecz niezmiernie dziwna: największa część są to biedacy; kobiety stanowią pokaźną większość i są w stosunku jak 5 do 3.

Ale dziwniejsza jeszcze okoliczność: najwybitniejsze miejsce w tej liczbie stuletnich, jako liczba lat, zdrowie i czerstwość tak fizyczna, jak i moralna — zajmuje Polka, i do tego Warszawianka, wdowa Józefa z Mazurkiewiczów Rostkowska.

Urodziła się w Warszawie d. 14 Marca 1784 r., ma więc teraz 105-ty rok życia. Według wiadomości udzielonych przez sędziwą staruszkę, ojciec jej był podkomorzym (szambelanem) Stanisława Augusta. Brat jej, generał inżenieryi, odbył wszystkie kampanie Napoleona I. Pani Rostkowska jako pomocniczka lekarska (aide chirurgien) 1-ej klassy wraz z mężem, kapitanem (Capitaine adjutant), odbyła kampanie od 1806—1812; liczy 12 kampanii i otrzymała dwie rany na polu bitwy.

Dzielna ta niewiasta od lat wielu zamieszkuje na prowincyi, w miasteczku Aniches (depart. du Nord) w pobliżu miasta Douai. Utrzymywała się dotąd ze szczupłej pensyi (secours), 60 frank. na miesiąc, wypłacanej przez Rząd Francuzki. Ostatniemi czasy, minister handlu i przemysłu, którego uwagę zwrócono na tak wyjątkowe a godne współczucia położenie tej zacnej staruszki, podniósł jej pensyą: pobiera więc dzisiaj p. Rostkowska 120 fr. miesięcznie.

W ostatnich dniach Września umarł w Madrycie, zapomniany i biedny, człowiek, który choć sam nie bez winy, stał się przecież ofiarnym kozłem za grzechy wszystkich Francuzów, mniej więcej odpowiedzialnych za wypadki wojny Francuzko-Niemieckiej 1870—1871 roku. Tym człowiekiem był marszałek Bazaine.

Niefortunny obrońca twierdzy Metz, oskarżony o zdradę i skazany na śmierć przez sąd wojenny pod laską księcia Orleańskiego, d'Aumale'a, ułaskawiony przez zamianę tej kary na wieczne więzienie w twierdzy i ratujący się zeń ucieczką, oskarżany przez lud, nietylko o zdradę, ale i o sprzedanie Prusakom potężnej twierdzy i przeszło 150-tysiącznej armii, a zmarły w ostatniej prawie nędzy: co za życie!

Znałem nieboszczyka zblizka i dobrze, wówczas jeszcze, kiedy był pułkownikiem, dowódzcą pułku „Legii cudzoziemskiej“ w czasie Wojny Krymskiej; w moich oczach i w ciągu tej wojny otrzymał on za waleczność szlify generała brygady, a następnie dywizyi, za wzięcie warowni Kinburnu.

Znałem go, i jedno co tu mogę powiedzieć, jest: że oskarżenie o przekupstwo niéma żadnej podstawy. Dowodzi tego zresztą najlepiej bieda, w jakiej zakończył swój nieszczęsny żywot, tak świetny, tak chlubny niegdyś! Czego mu brakło, bez zaprzeczenia—to nie odwagi, ale zdolności

---

1) Sprawca ogłoszenia pamiętników w *Deutsche Rundschau* nie był jeszcze wówczas wiadomym, kiedy sz. nasz korrespondent list swój do „Bluszczu“ wysyłał. Teraz już wiadomo, że wrzekomo przestępstwa dopuścił się p Geffcken.

(*Przyp. Redak.*)

naczelnego wodza i tego hartu charakteru, który w danej a ważnej chwili, sam tylko zastępuje, niedostatki umysłu, tworzy cuda, i z prostego żołnierza czyni bohatera! Czego mu brakło—to wielkiego serca i tej moralnej siły i wiary, co kruszy zapory i góry przenosi!

Bazaine, bez wyższego naukowego wykształcenia wojskowego, wszedł do służby w 1831 r., jako dobrowolny zaciążnik (Engagé volontaire), w 37-m pułku liniowym. Wszystkie stopnie wojskowe, aż do marszałkowskiej buławy, zdobył sobie, jak powiadają Francuzi, końcem swej szpady. Odważny, roztropny, czynny, miał on wszystkie przymioty i wady żołnierza z professyi, średniowiecznego condottiera, prawdziwego „officier de fortune.“ Cały swój zawód wojskowy, aż do stopnia pułkownika, odbył w Algeryi. Był długi czas na czele tak zwanych: *Bureaux arabes*,—pewien rodzaj komissoryatów cyrkułowych wojskowych, oskarżanych dość często niegdyś o przeniewierstwa, konszachty i uciski. Temu należy może przypisać niedostatek, w stanowczej chwili, poczucia twardego i straszliwego obowiązku naczelnego wodza i kommendanta takiej warowni, jaką było Metz...

Jak w publicznem, tak w prywatnem jego życiu było coś fatalnego. Ożeniony *primo voto* z Hiszpanką, którą dzieckiem prawie wziął z ulicy w Algierze, wytworzył sobie pewną nieprawidłowość w życiu i w towarzyskich stosunkach swego zawodu. Oddawszy ją na wychowanie do klasztoru Sióstr Miłosierdzia w Algierze, później, kiedy już wyrosła na słuszną i piękną panienkę, ożenił się z nią, mając już stopień majora. Ta pierwsza żona umarła tragiczną śmiercią, jak opowiadano w swym czasie, zażywszy trucizny, podczas kiedy Bazaine kończył wyprawę francuzką w Mexyku... gdzie, jak wiadomo, okazał już usposobienie do pewnych układów i ustępstw, które były może powodem śmierci cesarza Maxymiliana i przysporzyły samemu Bazaine'owi, za powrotem niemało przykrości, ze strony opozycyi owego czasu w Izbach. Pomimo to, przecież po powrocie z tej wyprawy otrzymał od cesarza Napoleona buławę marszałkowską.

W czasie swojego pobytu w Mexyku, i po śmierci pierwszej swej żony, Bazaine ożenił się z Mexykanką, znakomitej rodziny, i dziedziczką, jak mówiono, wielkiej fortuny. Ona to mu ułatwiła, wraz z jego dawnym adjutantem, ucieczkę z więzienia na wyspie S-ej Małgorzaty (jednej z wysp tak zwanych *de Lerins*, położonych w zatoce Nicejskiej). Ale lekka i nierównie młodsza od męża, nie potrafiła się utrzymać na obranej drodze poświęcenia i wobec biedy, niedostatku, starości zgryzliwej marszałka, zabrawszy z sobą córkę, pod pokrywką ukończenia sprawy posagowej, po śmierci matki odjechała do Mexyku, dwa lata temu, i już nie wróciła więcej. Z dwóch synów pozostałych przy ojcu, najstarszy jest dziś podoficerem w wojsku hiszpańskiem.

Ten koniec życia szczęśliwego w przeszłości żołnierza — co to za nauka i co za straszny przykład! Brak uczucia powinności i obowiązku, niedostatek hartu w duszy, popchnęły go w najważniejszej chwili życia na tę drogę kompromissu z sumieniem, z której nie miał już nigdy powrócić na wyżyny, do których wzniósł się, nie tyle może cnotą i zasługą, ile szczęśliwem zrządzeniem losu! Zaspokojony we wszystkich żądzach i marzeniach życia, nie miał już żadnego bodźca, coby go pociągał naprzód: zatrzymał się i upadł!

Jakie być mogły ostatnie godziny tego człowieka? łatwo jest odgadnąć... Miłosierdzie Boskie, niech mu da nakoniec upragniony pokój!

Kiedy w Madrycie Bazaine kończy tragiczny swój zawód, w Paryżu umiera nagle 22 Września artysta malarz, którego liczne i znakomite obrazy zostaną, jako wielka spuścizna, po jednym ze znakomitych ludzi tego stulecia.

Gustaw Boulanger—żadne pokrewieństwo z szeroko-słynnym ex-generałem—urodzony w 1824 r. był professorem w szkole a członkiem akademii Sztuk Pięknych. Sprawiedliwą pochwałę nad grobem oddał mu p. Lanoumet, dzisiejszy dyrektor sztuk pięknych.

„Nie było, mówił, artysty poczciwszego, bardziej oddanego swej sztuce, umiejącego zachować większy osobisty szacunek, nad Boulangera. Nie było człowieka bardziej obojętnego na to, co się zowie modą i na to, co my nazywamy interesem, to jest, poszukiwaniem korzyści i zysków... Głęboko obeznany z literaturą starożytną, syn Grecyi i Rzymu, pełen zapału, pozostał wiernym do końca, tym przewodnikom swojej młodości. Wyznawał on prawdziwą i niewzruszoną wiarę w naukę i przykład Starożytności.“

Jak mówiłem, Boulanger zostawił po sobie wielką liczbę znakomitych obrazów; wszystkie one oddawna są już w ręku amatorów i powiększej części Francuzów, którzy czuli w nim jednego ze swoich—talent, który umiał godnie odpowiedzieć narodowemu uczuciu, w tem, co prawdziwie piękne i wzniosłe.

Francya, tracąc znakomitego malarza, straciła również jednego ze swych najznakomitszych komików. Berthélier, aktor i śpiewak komiczny, co od lat przeszło trzydziestu, bawił i rozweselał bulwarową gawiedź, zamilkł na zawsze prawie, schodząc ze sceny. Rzecz dziwna: nawet i dawniej a tembardziej w czasach, w których żyjemy, Berthélier, był to człowiek, nietylko pobożny i głęboko wierzący, ale szczery katolik, wiernie spełniający praktyki religijne.

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Józef Rosen,** przebywający w Monachium, wykończył szerszych rozmiarów obraz „Manewra artyleryi.“

— **Na wystawie nasion** przyznano podziękowanie od komitetu hr. Lud. Krasińskiemu, za rezultaty prób i doświadczeń z rozmaitemi odmianami roślin, oraz *Towarzystwu Osad Rolnych* za kollekcyą zbóż. Dyplomy zasługi otrzymali: hr. M. Potocka z Wysokiego Litewskiego za ogół okazów; Ksawery Bielawski administrator dóbr: Wysokie Litewskie i Zwody za pożyteczną działalność na polu hodowli nasion; Tymoteusz Łuniewski z Korytnicy za studya nad uprawą ziemniaków; Władysław Mayzel za hodowlę nasienia buraczanego. Dyplomy uznania udzielono: Konstantemu Śliwowskiemu ze Skordyowa za ogół okazów; Julianowi Dobrzańskiemu z Budziszewic za hodowlę nasion buraczanych. Medale złote przyznano: hr. M. Potockiej z Wysokiego Litewskiego i Helenie Gutowskiej ze Zwodów za ogół okazów. Medal wielki srebrny otrzymał Jan Kleniewski za chmiel.

— **Podróż na bicyklu** z Kielc do Warszawy, mil 24, odbył p. Karmiński, ziemianin zpod Kielc, w przeciągu 16 godzin.

— **Wileńskie Towarzystwo Wyścigów** zamierza urządzić w roku przyszłym wystawę z rozszerzonym programmatem.

— **Napis grobowy** na mogile ś. p. Wróblewskiego w Krakowie, wyryty na płycie granitowej, brzmi: „Pracował dla kraju, umarł dla nauki.“ Pomnik, na podstawie którego umieszczono płytę, jest z kamienia ciosowego. Przeniesienie zwłok z tymczasowegomiejsca spoczynku, nastąpiło d. 11 Października r. b.

— **Nieznany szkic Grottgera,** pochodzący z roku 1857 a przedstawiający spotkanie Fausta z Małgorzatą przy wyjściu z kościoła, podał krakowski dwutygodnik *Świat*.

— **Jubileusz** czterdziestoletniej rocznicy prezydowania Smolki w Radzie Państwa, był obchodzony we Lwowie. Jubilat otrzymał z kraju i zagranicy 120 telegramów i kilkaset lisów.

— **Konkurs na kompozycyą fortepianową** Karola Volant, z nagrodą 4.000 franków za utwor najlepszy, został ogłoszony w Paryżu. Artyści wszelkie j narodowości wystąpić tu mogą.

— **Szkoła dla areonautów** zakłada się w Paryżu z kursem teoryi i praktyki w żegludze powietrznej. Jest to przedsiewzięcie prywatne, przecież z głównym celem wznoszenia się balonem w czasie wypraw wojennych.

— **Genewskie stowarzyszenie wytępienia literatury niemoralnej** wystąpiło do rządu z podaniem niedopuszczania w granice kraju książek psującej treści. Stowarzyszenie układa katalog dzieł podpadających pod tę rubrykę.

— **Księga starości,** to tytuł książki, świeżo wyszłej w Paryżu w księgarni akademickiej. Autor, Antoni Rondolet, bardzo mądrze wykazuje, jak młodość i wiek średni powinny się składać na to, aby starość mogła być spokojną i szczęśliwą. A jest ona przedwstępną chwilą wieczności, pieczęcią życia, a może być piękną i nie bez oddziaływania na życie otoczenia swego, bo jest to dla tego życia lekcya wysoka. Krytyka bardzo podnosząc dzieło, jako głos mędrca, czyni mu jednak uwagę, że żywotność młodości powinna mieć i ma też zwykle zadanie inne, niż przygotowanie sobie starości: życie jest dla życia, dla celów idei i spraw, które przeprowadza. W gruncie rzeczy łączy się tu jedno z drugiem i autor wykazać chciał zapewne, że po uczciwem i szlachetnem życiu starość jest jakby pogodnym zachodem słońca.

— **Prawa postępu,** dzieło włoskiego literata, Federici, niegdyś deputowanego w parlamencie włoskim, przedstawia czytelnikowi, w studyach nad historyą powszechną, przyczyny wielkości i upadku narodów. Książka pisana pofrancuzku wyszła też w Paryżu.

— **Jokay,** wespół z niemieckim librecistą Zaitz, napisali libretto do operetki kompozytora Rosée, pod tytułem: „Bohater Marko.“ Opera ma być wystawioną w Wiedniu.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 4-ty powieści pod tytułem: **Katarzyna Regina,** przez Waltera Besant'a.

TREŚĆ. W Jesieni, poezya, przez A. Pileckiego. — **Pogawędka** — **Na Krasnym Dworze,** (dalszy ciąg), powieść historyczna, przez **Fr. Rawitę.** —**List z Rzymu.** — **Dolina Kowieńska,** przez J. Nitowskiego. — **Nowiny paryzkie,** (dokończenie). — **Z bieżącej chwili.**
Dodatek obejmuje Arkusz 4-ty powieści pod tytułem: **Katarzyna Regina,** przez Waltera Besant'a. — 22 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — Dyspozycyą stołu

Warszawa.—Druk i Litografija S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.
Дозволено Цензурою. — Варшава 12 Октября 1888 года.